

KAMENA

miesięcznik literacki

ROK III

Nr. 6

MIESIĘCZNIK LITERACKI

LUTY 1936 R.

TREŚĆ NUMERU SZÓSTEGO:

	Pamięci „Proletariatu“	str. 101
ALFRED LASZOWSKI	O postawie poetyckiej Lieberta „	102
JAN BRZEKOWSKI	Czerwony kogut	„ 104
JÓZEF ŁOBODOWSKI	Cmentarz lubelski	„ 105
JERZY PIETRKIEWICZ	Straszna opowieść	„ 107
ALEK. BAUMGARDTEN	Młoda poezja ukr. we Lwowie „	107
BOHD. I. ANTONYCZ	Gorzka noc	„ 110
	Do istot z zielonej gwiazdy „	110
	Pieśń o niezniszczalności materji „	110
ŚWIAT HORDYŃSKYJ	Do poetów Polaków	„ 111
	Dziewczynko piętnastoletnia „	111
BOHDAN KRAWCIW	Witraże krat	„ 112
	Nad miastem noc	„ 112
ANTONI KURDYDYK	Szary patrol	„ 112
HEINRICH HEINE	Do mojej matki	„ 113
MARJA SZCZEPAŃSKA	Wiosna	„ 114
GRZEG. TIMOFIEJEW	Jeszcze w sprawie artyk. „Wyzwalanie szatana i wy- zwalanie anioła	„ 117
KAZ. AND. JAWORSKI	Przegląd poezyj	„ 118
	Noty	„ 120

Wkładka linorytowa ZENONA WAŚNIEWSKIEGO:

Ilustracja do „Belladony” M. Gronskiego.

Redakcja: Kazimierz Andrzej Jaworski, Chełm Lub. Reformacka 43.

Przyjmuje w poniedziałki od 15 do 16-ej.

Wydawnictwo i Administr.: Zenon Waśniewski, Chełm Lub.
Reformacka 15 B.

Redaktor odpowiedzialny: Wawrzyniec Berezecki.

Redakcja i administracja w lipcu i sierpniu nieczynne.

Prenumerata roczna (10 numerów) 4 zł., półroczna (5 numerów) 2 zł. 25 gr.
Należność uiszcza się zwykłym przekazem lub przekazem rozrachunkowym (niebieskim). Numer okazowy „Kamenu” wysyłamy tylko po uprzednim nadesłaniu 50 gr. przekazem lub w znaczkach pocztowych.

Opóźnianie wpłacenia prenumeraty powoduje miesięczną opóźnienie w wysyłce pisma ze względu na wysoką opłatę pocztową numerów jako druków.

CENA NUMERU POJEDYŃCZEGO 50 gr.



k a m e n a

miesięcznik literacki

rok III

lut y 1936 r.

nr. 6 (26)

Cieniom Waryńskiego, Kunickiego, Bardowskiego, Pietrusińskiego i Ossowskiego, bohaterstwu „Proletariatu“ w pięćdziesiątą rocznicę wyroku hołd składa redakcja i wydawnictwo „Kameny“.

* *
* *
*

(Z „Johna Brown’a)

1

Jak orły, w klatce zamknięte drucianej,
Siadują przez dzień, niewoli pamiętne,
Lecz z świtem, oczy przetwierając smętne,
Do lotu skrzydłem biją w twarde ściany—
Aż, uderzywszy tak, co świt, o kraty,
Pierze im z ramion obite wiatr niesie,
I każdy pierzom swym dziwuje się,
Na skrzydłach krwawe oglądając łaty —
I wraca głowę, ze skrońmi płaskimi,
Odpoznawając się w klatce, na ziemi!

2

Tak wy! — szlachetni różnego narodu,
Wolności świtów zamknięci orłowie,
Przed czasem zgaśli konspiratorowie,
Młodzieńcy w grobach lub starcy zamłodu—
— Zdawałoby się, że — c z a s ó w zakony
Własnymi łamiąc mięśnie i nerwy —
Co potem w dziejach, to czynicie pierwej
Na samych sobie — jak święty — szalony —
Wracając co wiek z oczyma błędnymi
Do odpoznawania się — w klatce — na ziemi!

C y p r y a n N o r w i d

O POSTAWIE POETYCKIEJ LIEBERTA

(Dokończenie)

Przez wzruszone wnętrza Lieberta płyną ciągle strumienie, potoki i źródła, ten liryk był nadziany nurtem, całe rzeki żłobiły w nim krwawe łożyska. Zwłaszcza życie erotyczne dochodziło do głosu w ten sposób. Jego przebieg liryczny charakteryzuje brak sugestij zmysłowych i wyraźne pragnienie idealistycznej sublimacji instynktu. Stąd też poeta kocha się głównie w oczach kobiecych, a wymowa używanych z tej okazji metafor dowodzi, w jak wysokim stopniu miłość kojarzyła się u niego z najczystszymi akcentami wzniosłości. Przejdźmy do wymowy metafor, wspomnianych już na wstępie. Gdy Liebert mówi o kościołach oczu, gdy kilkakrotnie porównywa je do nieba (w jednym wypadku tylko mówiąc, że szukał go napróżno, str. 81), sens owych przenośni staje się dla nas wskaźnikiem oczywistym marzenia i zdaje się wyznaczać jego upragnioną koncepcję bez reszty. W okresie, kiedy miłość była dlań palącym trądem, pisał: „O, luba, wiem, twa dusza nie kocha mej duszy“, a zaraz nieco dalej mówi o sercu spragnionem majestatu i woni niebiosów. Pod tym względem Liebert uchodzić może za klasycznego poniekąd przedstawiciela romantycznego idealizmu w powojennej liryce polskiej.

Z jego wierszy miłosnych wynika, że ani razu nie udał mu się związek dusz, zespolonych na miarę marzenia. Świadomość ciągłego podziału, wiedza granic, rozpiętych między duchami kochanków, towarzyszy mu na każdym kroku i przemienia się w refren goryczy: „Tak zawsze nasze serca sobie obce wzajem, ty żarom, a ja chłodom niebieskim oddajem“ etc.

W liryce miłosnej Lieberta niemałą rolę gra akompaniament gorących związków ziemi z niebem.

„Jak kochankowie w oczy swoje zapatrzeni, niebo chłonne ku skwarnej pochyla się ziemi, a ziemia w dreszczach słodkich do nieba się wtula“ (str. 75), albo: (Ziemia) Niebo w górze rozwiane i zmięte jak tiul do ust gorzkich przyciska i chłodzi. Błady dzień się w pieszczocie wyłania i rodzi w pocałunku mocniejszym nad ból“.

Erotyczne widzenie świata? W tym wypadku niewątpliwie tak, ale jeśli idzie o stosunki ludzkie, śmiało można mówić o braku cielesnych temperatur w utworach Lieberta. Zmysły, okiełzane sąsiedztwem negacji, nie żyją tam właściwie ani razu z sobą. Prawdziwa dynamika porywu fizjologicznego ukrywa się pod skromnym słówkiem „coś“, triumfuje liryzm niewiedzy!

Jak kobieta przez kochanego mężczyznę, tak Liebert czuje się nieustannie przywalony Bogiem. W jego ujęciu lirycznym nie królestwo niebieskie gwałt cierpi, ale właśnie przemocą zdobywany człowiek.

„Dogoniłeś mnie, jeźdźcze niebieski. Stratowałeś, stanąłeś na mnie, Ległem zbity, łaską podcięty Jak dym gdy wicher go nagnie. Nie mam słów, by spod ciebie się podnieść. Coraz cięższa staje się mowa. Czyżby słowa utracić trzeba, By jak duszę odzyskać słowa. Czyli trzeba aż przejść przez siebie, Twoim słowom siebie zawierzyć, Jeśli trzeba, to tratuj do dna. Jestem tylko twoim żołnierzem...”

Ten akt pokory kryje w sobie jednak zapowiedź nader ciekawych wyrzeczeń, sięgających w sferę autonomji twórczej.

W wierszu, poświęconym Rafałowi Blüthowi, towarzyszy mu jeszcze świadomość tego, co jest w nim najbardziej niezależnym i samorodnym pierwiastkiem oraz źródłem doczesnej odrębności w stosunku do bytu nadprzyrodzonego.

„Włókna napięte wrastają w ciało, Pod siecią leżę przybity siecią. Aleś mnie do dna sobą nie przeciął: Pod siecią słowo ze mną zostało“.

Otóż właśnie! Wyraz, pojęty jako narzędzie samodzielnych działań, tak długo stanowić będzie o jego związku z ziemią, dopóki za sprawę Stwórcy nie dokona się przeobrażenie słów natury pogańskiej.

Świadczy o tem między innymi cytata: „Jeszcze słowa niepokojne dzieła ziemi brud od piękna, nim jak miecze się nie skruszą i w pacierzu nie uklęką“. Nie zapominajmy, że one przecież pozwalają artyście do pewnego stopnia współzawodniczyć z Bogiem, że dają mu moc samorodnego wyzwania żywiołu poezji, a tem samem dochodzi w nich do głosu buntowniczy element autonomji duchowej.

„Od słowa ciemnego broń nas, od słowa ciemnego wybaw“

Mowa, nabrzmiała potencjałem twórczym, zdaje się w ujęciu Lieberta zawierać jedyną szansę równości z absolutem i dlatego też podporządkowanie owej władzy Bogu musiało stać się dla niego najwspanialszym triumfem wyrzeczeń. Wyrwać słowom ich korzeń doczesny, pozbawić magicznego uroku, w tej decyzji mieści się zarazem potępienie szatańskiego rodo-wodu wyrazów. Wszak mowa w nieostrożnej metaforze Lieberta była również pełną czarą, strojną zalotnicą, nic dziwnego więc, że chciał przeobrazić to narzędzie pogańskie i płocze w duchu potrzeb ekspresji niebieskiej.

Nie spodziewał się wtedy Liebert, że moditwa o grozę

znajdzie wstrząsające zadośćuczynienie w nadchodzącej śmierci. Proces heroicznego uświadamiania sobie jej grobowych perspektyw dał w rezultacie kilka wierszy, poświęconych lirycznemu rozważeniu najstraszniejszej ze spraw ostatecznych.

Fanatyczne pragnienie konkretności, dominujące w jego obcowaniu z Bogiem, żywe, chwilami aż drastycznie bolesne wyczuwanie natarczywej plastyki brzmienia metafizycznego, rozrosło się i spotęgowało, zaostrzając wrażliwość przedśmiertną.

W odważnym uprzytamnianiu sobie przerażających akcesorjów zgonu osiągnął autor „Kołysanki jodłowej“ najtrudniejsze wyżyny rzeczowości, surową prawdę nadchodzących faktów zobjektywizował na miarę ogólnoludzkiego wyrazu tych przeznaczeń. Jest jakaś nieledwie już reportażowa pasja złowrogiej dokładności w przedśmiertnym kreśleniu obrazów własnej trumny, w sprawozdaniach z rozkładu płucnego.

Liryzm czujny, jak rtęć w termometrze, staje się żywym wykresem finału biologicznego, każdemu wzruszeniu odpowiada przełom, głuchy pogłos i tętno katastrof.

Droga ziemską Jerzego Lieberta wiodła przerażonym ściegiem niewiedzy i witalistycznego zachwyty poprzez miłość kobiety do wyzwolenia katolicyzmu.

ALFRED ŁASZOWSKI

CZERWONY KOGUT

Wśród gwiazd rozkutyh w iskry rozprysniętych w przetak
mgłą zielone przecierasz turkusowe sady
za rękę wiodąc w gąszcze snu.

Chłodne drogowskazy wklejone w firmament rękami północ
[mierzą na niebie
skąd gwiazda polarna zmrożona i miękka ściszone rozwiera
[powieki
które do snu kołysał włochaty Anioł-Stróż.

Dźwięk sań piął się pod górę aż pod kraniec horyzontu
gdzie
w pierzastej zadymce miały się białe koszule rozwiane jak żagle
i szorstkie jak sierść.

W krzaczastej burzy — toczyły się piersi kobiece, krągłe globy
i spadał w srebrny horyzont ukryty za chmury
skrzydłami rozpostartemi na wiatr —
Czerwony Kogut.

JAN BRZĘKOWSKI

CMENTARZ LUBELSKI

Na wiosnę splókanę słońcem błyszczą blaszane dachy,
naoścież brudne okna — radość zbudzonych domostw;
już błękitnieją pagóry ku miastu zbiegłe stromo,
przed wzrokiem dal otwarta, jakbyś powietrze zniósł, —
i trzaskasz starą furtką i biegniesz w pole bez strachu —
aż cię cmentarny rozłóg zachwyci wiosenną burzą, —
tam biją o ziem kopyta
i weszą chrapy Muz
wiatr ku nieznanym podróżom.

W ręce bezczynne od lat chwyć ostry topór i tnij, —
cóż ci zamarłe echo między drzewami odpowie? —
Paruje bura ziemia, liljowa mgła w parowie,
śmiej się wybiega naprzeciw gramada białych pni,
stopami wstrząsa dreszcz;
pląta białych nici
wsysa się w ciężką glinę, w serce piaszczystych zasp;
stoimy wszyscy na wzgórzu zmierzchem przykryci,
błoto spętało stopy, senność powieki morzy,
na wargach znowu gorycz — i szumi cmentarz jak las
w blaskach wieczornej zorzy.

Krąży pod korą sok, nabrzmiwia liść,
załążek pierwszego kwiatu pęcznieje ziarnem...
A tobie wiosna, cóż!

Nie będziesz w walce isć,
nie podasz piersi na cel oszczepom w pędzie prostym, —
wisi bezczynna dłoń
i znów jak wtędy na marne
szerokich ramion rozrosty.

Płoną w gorącej krwi mogił i gładów szeregi, —
idźże! — doszlusuj, młody!
w gładach niezłomnych stań...
Przy gwarnych stołach roznośisz zatrute wino elegij,
oklask niktzemny zrywasz z rąk wczorajszego liktora...
A tutaj dłonie w więzach!
Krzykiem nabrzmiwia krtań!
W oknach pożoga! Pora!

Wyżej wiosenny wiatr! Świeci w gęstwinie próchno.
Milczenie białych aniołów. Gałęzi skrzyp.
Duszą się trumny pod ziemią...
Może za chwilę wybuchną,
rozmiotą ciężkie głązy, na miasto runą
żywych do życia budzić
i bić do spotniałych szyb
czerwoną łuną.

O, miasto! Męko straszna nieplakanego konania,
syta radości domów przeżartych trupią zarazą!
Widzę ściśniętą dłoń na drżących krtaniach,
spotniałe czoła, oczy żebrzące niktzemnie —
o, miasto! — przekaż swym murom, kamieniom wrosłym w żelazo
gniew, który płynie przeze mnie!

Milczy na wiatrach wiosennych cmentarne pole,
pulsuje żywą krwią z tysiąca serc i żył.
Wsysa w swą pierś urodzajną mękę i trud i niedolę,

wszystko, co w oczach im lśniło i drgało w silnych ruchach.
 Pod stopą cicho trzeszczy podściółka liści sucha,
 gnijąca, bura pleśń, zwały zamarzłej henny
 pod niewzruszonym pagórem
 żrenice w niebo wbił,
 śpi ciężko książdz Ściegienny...

A wiosna drży na gałęziach i marszczy siną wodę —
 oddala się na wschodzie krzyk wracających gęsi.
 Siwe obłoki górą.
 Na czarnych koniach bez siodeł
 przez mgliste pole jeźdźcy. Daleki, niknący głos.
 Nad głową lot nietoperza. I czarne widma gałęzi
 szarpiają za włos.

Ponure miasto we mgłach. Jękliwa skarga rynien
 sączy codzienną opowieść, odmierza czas.
 Wybuchnie wiosna i tu. O niewiadomej godzinie
 zgruchoce zgniłe wnętrzości ścianom i brukom.
 Sącz cicho krople goryczy.
 Wpatruj się w oczy gwiazd,
 samotna ludzka nauko!

Pijany za szybą gwar. Skrzypce rzępolą.
 Przelicz srebrniki żalodne. Wejdz.
 Uniesie cię gorzki strumień ku rozspiewanym atolom,
 oczy zagasłe rozjarzy, w żyły płomienia nasypie, —
 teraz pomędrkuj, chłopcze, ręką wymowną chwiej
 na własnej, na wywrózonej stypie.

Zamarzy ci się woń rozkwitłych lip i rezedy,
 wilgotną, chłodną wargą żrebak o czoło trąci,
 wszystko, co przeminęło... co niewiadomo kiedy...
 na brzoskwiniowych porankach,
 w radości rozkwitłych bzów —
 ...Nad targowiskiem świata, w błyskach na horyzoncie,
 powstań, samotny, i mów..

Harmonja łzawo zawodzi, pali zielony płyn, —
 strumień melodji srebrnej kołysz biedra dziewczynom...
 Nie wiersze nocy tej piszę, wykaz dławiących win,
 niedotrzymanych przysiąg, urwanych na półsłowie —
 i surowemi oczami pod mokrą ementarną gliną
 patrzą umarli ojcowie.

Ze złożonemi rękami w deskach sosnowych,
 słuchają cichej jesieni, wiosny zwycięskiej.
 Na drobno struganych wiórach uspięne głowy,
 oczy przez powiek wosk szukają wnuka.
 Aż sam znużony nadmiarem przeżytej klęski
 do czarnej furty zastuka.

Cóż dzwonnikowi da?
 cóż grabarzowi przyniesie? —
 gdy przyjdzie ludziom żywym płacić ostatnią część...
 Może szelesty wiatru w złotym, jodłowym lesie,
 może pastuszych rogów niknące granie —
 i nieprzyjętą do wiary,
 nie odkupioną wieść:
 z prochu dnia twego powstaniesz...

STRASZNA OPOWIEŚĆ

Ano posłuchajcie:

Spadł śnieg.

Miedze ścichły,

obielone grusze drugi raz zakwitły,

tylko na drogach za końmi wiatr biegł,

zacinał.

Jakoś pod wieczór umarła pani leśniczyna.

W lesie wśród białych krzewów śnieżne wycie psa,

a w zeschniętych leszczynach

chustką wielką wiewała mgła.

Akurat wtedy z jarmarku wracał sołtys do wioski.

W karczmie czerstwe uśmiechy okien: krokom raźniej.

W kieliszku wódki osłabła wkrótce chłopska troska —

i znów mroźne milczenie zasp przy białych rowach.

Sołtys wszedł w las.

Nagle mgła jak leśniczyna wstała z nad moczaru,

zaświeciła księżycem w sołtysowe oczy,

a wiatr na krzewach jak na marach

poniósł płacz śnieżny w stronę krzywej figury

i chichotem w jałowce się stoczył.

Z figury wyszedł święty Mateusz,

chwiał się smętnie w białym, śnieżnym wirze

i wyciągnął do sołtysa palec.

Śnieg zaskrzypiał coraz bliżej i bliżej...

Nie słuchajcie dalej...

JERZY PIETRKIEWICZ

MŁODA POEZJA UKRAIŃSKA WE LWOWIE

Po rozmaitych próbach zapoznania polskiego czytelnika z poezją ukraińską wogóle, — podejmowanych bądź celowo przez pewne wydawnictwa (Wiad. Literackie, Kamena, Sygnały), bądź w sporadycznych wystąpieniach poszczególnych tłumaczy — należałoby dać pewien wykres dzisiejszego oblicza poetyckiego lwowskiej twórczości ukraińskiej. Lwów jest bowiem dość specyficznym ośrodkiem ukraińskiego życia kultu-

ralnego i to z różnych względów. — Najważniejszym z nich jest niewątpliwie wielka ilość rozmaitych wydawnictw naukowych, literackich, religijnych czy kościelnych. Rozwojowi tego kulturalnego życia sprzyja również szeroko rozwinięte dziennikarstwo i czasopiśmiennictwo. Poza to zaś młodych pisarzy ukraińskich otacza dość ciepłarniana aura sympatii i poparcie własnego społeczeństwa, czego nie mogliśmy stwierdzić w odniesieniu do czytelnika polskiego, który, jak wiadomo, specjalnym konsumentem poezji nie jest. Naogół jednak mimo tych sprzyjających warunków w przedostatnich, niedawnych jeszcze czasach poezja ukraińska we Lwowie na poziomie nie stanęła. Stwierdzić to można było zarówno w odniesieniu do starszej, jak i do młodszej generacji poetyckiej twórczości. Stwierdzali to zresztą i sami Ukraińcy (O. Bodnarowycz), którzy zwrócili uwagę na fakt, że kultura ich idzie wprzód bardzo „nierównymi krokami“. Obok bowiem z wielkim rozmachem i bujnie rozwijającej się rzeźby, malarstwa, grafiki, dość nieśmiało wyrastała skromna roślina poezji. Charakterystycznym objawem tej fazy rozwojowej był brak orientacji i gorączkowe szukanie miejsca w szeregu poetyckiej przynależności. U wielu poetów brak konkretności własnej osobowości, — nagminna bojaźń przed wypowiedzeniem poetyckiego, osobistego credo.

Dwa lata ostatnie przyniosły tu wiele zmian. Przedewszystkiem wyklarowała się znacznie (nie całkiem) pewna ilość poetyckich typów — Ustalił się Hordyńskij, nie zmienił swej „słowiańskości“ Kurdydyk. Wyrósł nowe indywidualności (Antonycz, Hawryluk).

Po debiutach przyszły tomy następne (te są zazwyczaj bardziej istotne dla określenia czyjejs indywidualności. Więc Światosław Hordyńskij), zdolny malarz i jeden z najwybitniejszych ukraińskich grafików. W poezji zadeklarował się tomem „Barwy i linje“, za który dostał nagrodę Towarzystwa Literatów Ukr. Hordyńskij jest duchowym synem Paryża, dokąd wyjeżdża na artystyczne spacerki, co na jego formie poetyckiej przebliska delikatnym refleksem. Z tematyki urbanista, z wielkim wdziękiem godzi swe malarskie wizje z własną, bogatą rzeczywistością poetycką. Ostatnio wydał dwa tomy: poetycką traskrypcję „Słowa o pułku Igora“ i „Buruny“ (wyd.: „Warjah“).

Pięknem przedstawił się słowem* Bohdan I. Antonycz. („Trzy pierścienie“) — Potoczyste, jędrne wiersze szu-

*) Antonycz wydał już w 1931 r. tom „Przywitanie życia“, mało jednak charakterystyczny.

mią w koronach podolskich lasów, przewalają się zielenią po rozłogach. Zieleń i słońce a w środku modlitwa ludzkiego serca. Oto Antonycz i jego wiersz.

Bohdan Krawciw Poeta doświadczony i głęboko w siebie patrzący Laureat, podobnie jak Hordyńskij nagrody literatów ukr., — Krawciw jest nieco osamotniony w swym poetyckim świecie, co zresztą podkreślają sami krytycy ukraińscy (dr. Hnatyszak). Jestto niewątpliwie wynikiem specjalnej, „samotniczej“ konstrukcji jego duchowego wnętrza, jak i osobistych przeżyć i przejść poety (był politycznym więźniem). Po nieco młodzieńczych debiutach („Droga“ i „Promienie“) wykazał się dorobkiem znacznie cięższym gatunkowo („Sonety i strofy“): cyklem sonetów więziennych. Głęboko wyczułe człowieczeństwo charakteryzuje może najlepiej tego poetę i jego prostą a jakże subtelną formę.

Wspomnieliśmy już przedtem o „słowiańskości“ innego poety: Anatola Kurdydyka. — Legitymujemy się teraz: Kurdydyk, redaktor i współredaktor wszystkich niemal możliwych czasopism ukraińskich we Lwowie, mało stosunkowo może czasu poświęcać tej najbardziej wymagającej z muz: poezji. Niewiele też można „wyłowić“ od niego wierszy, ostatnio dopiero nosi się z zamiarem wydania tomu własnego. Słowiańskim zaś nazwać go trzeba za dziwną śpiewność wiersza, za delikatne wygładzanie nastrojów i pieczętowanie rzeczownikami całych, zharmonizowanych już uczuciowych gam, co robi wrażenie wręcz przejmujące (np. słowo „żał“ przybiera u Kurdydyka w zakończeniu wiersza charakter całego uczuciowo skomplikowanego zespołu żalu, tęsknoty, smutku). Podobnymi zwrotami, choć w nieco innym zestawieniu, zaskakuje czytelnika w swych wierszach Tyczyna.

Z innych nazwisk młodszej (niekoniecznie wiekiem) generacji ukraińskich poetów, należałoby wymienić jeszcze Włodzimierza Hawryluka, którego zbiór wierszy: „Solo w ciszy“ zapowiada niezwykle konstrukcję poetycką a lekkość posługiwania się wierszem i ciekawe, wizualne może skróty (Hawryluk, podobnie, jak Hordyńskij jest malarzem) każą się spodziewać wielkich możliwości po autorze tak subtelnie nazwanego tomu.

Tak wygląda w ogólnych zarysach ukraińska twórczość poetycka ostatnich czasów we Lwowie. Niezależnie od tego wychodzą i literackie czasopisma, jak wydawany przez D. Doncowa „Wistnyk“, pozatem katolickie „Dzwony“, czy w formie do „Wiad. Liter.“ zbliżony „Nazustricz“, a ostatnio „Obriji“

ALEKSANDER BAUMGARDTEN

GORZKA NOC

Zasnęli ludzie w czarnym mieście
i chłoną widzeń sennych czad.
Twego marzenia nie pomieści
ten wielki, ale ciasny świat.

Umilkły dzienne niepokoje
i północ zwolna sypie mak
i spokój rozpiął skrzydła swoje,
lecz nie dla ciebie ciszy smak.

I oto drobny, czarny chłopiec
do czoła nagle podniósł dłoń.
Nie, sedna ty się nie dokopiesz,
a wiersz twój w walce słaba broń.

BOHDAN IGOR ANTONYCYZ

Z ukraińskiego spolszczył K. A. Jaworski

DO ISTOT Z GWIAZDY ZIELONEJ

„Biosu“ prawa są dla wszystkich jednakowe:
narodziny, cierpienia i zgon.
Cóż pozostanie po mnie popiół mego słowa.
Co pozostanie po nas: z kości trawy plon.

Lwy, sarny, lisy, jaskółki i ludzie,
zielonej gwiazdy robaki i liście,
materji prawom niezmiennym poddane!
Jak niebo ponad nami iskrzy się srebrzyście!

Rozumiem was, zwierzęta, rośliny nieznanne,
i słyszę, jak komety pędzą, jak kiełkuje trawa,
Antonyecz też jest zwierzę — smutne, kędzierzawe.

BOHDAN IGOR ANTONYCYZ

Z ukraińskiego spolszczył K. A. Jaworski

PIEŚŃ O NIEZNISZCZALNOŚCI MATERJI

Zaszyty w ciemny gąszcz i otulony wiatrem,
nakryty nieba dnem, spowity wkrąg pieśniami,
jak mądry lis przysiadłem pod paproci kwiatem,
i stygnę, i twardej powoli na kamień.

Roślinnych rzek ku górze wspina się płatawa,
chwil mknących, komet, liści nieustanny łopot.
Rozmładźmy mnie pieść słońca, spali ognia potop
i z ciała będzie węgiel, z pieśni popiół rdzawy.

Jak lawa się przetoczą tysiączne stulecia,
gdzie myśmy niegdyś rośli, staną jakieś palmy,
i węgiel z naszych ciał zakwitnie czarnem kwieciami,
i w serce me zadzwonią oskardem w kopalni.

BOHDAN IGOR ANTONYCYZ

Z ukraińskiego spolszczył K. A. Jaworski

DO POETÓW POLAKÓW

Dziś wam przyjemnie zachodzić w ciepłą, zaciszną kawiarnię,
Zaciągając się papierosem z herbatą — za gazet wałem
I wiedzieć gnuśnie, że waszych wywezasów niezbrojną armję
Powiedzie poprzez historję i bez was, chmurny marszałek.

Tak lekko wam i beztrosko spocząć na piersiach kochanek,
Zapomnieć grozę słów dawnych: zandarmi i cytydela.
Bo tylko nam nieść trzeba w milezenia ciężkich kajdanach
Pod kaskiem chmurnego czoła buntu czerwona niedziela.

Na zaproszenie Pen-Klubów tak lekko pullmany niosą —
Hardo powitać obczyznę sztandarem ziszczonych marzeń,
Lecz ciężiej prakkim brukiem wiersz pisać, jak Olżycz i Kosacz,
Modląc się gniewnym aniołom przyszłych, okrutnych wydarzeń.

Dobrze jest iść smagłemu pod słońcem i wiatrem i wierzyć,
Że krok na ziemi zdobytej to rzymski krok nieustraszeń.
Czuć, jak się giętko nagina prawo do waszych zamierzeń,
Jak kornie bije na baczność w twarde, policyjny daszek.

I myśmy też zakochani w słońcu i w śmiechu kobiecym,
Usta namiętne nam pali wichur od strof rozhułkanych,
Lecz ciężej nam się dziś zdobyć na pstrość tuwimowskiej hecy,
Gdy z naprężenia są oczy krwią a nie łzami zalane.

Tak lekko dzisiaj się schodzić, słowa zamieniać przyjazne,
Oparłszy na jednym stole łokci i myśli wymowę,
Lecz jakże w rymach i rytmach rozpaczę utaić własne,
Jakże zapiąć w futerał na ostro nabite słowa?

Lecz najstraszniesze, że przecie wciąż istnieć nad nami będzie
Dla wszystkich jedyne piękno—srogie, niezmiennie i stale,
Nawet, gdy bufor historii w piersi nas grzmotnie w rozpędzie,
Gdy pocujemy znów w rękach ciężar chłodnego metalu!

ŚWIATOSŁAW HORDYŃSKYJ

Z ukraińskiego spolszczył Aleksander Baumgarten

* * *

Dziewczynko piętnastoletnia!
Twego ciała upaja mię woń,
jak w lipcowe wieczory letnie
liść leszczyny, który zemnie dłoń!
Cichuteńko się skradasz i dłońmi
(rzekłem: pachną, pachną jak liść!)
oczy moje zniemacka zasłonisz,
spytasz: kto? i nie mogę już iść.

Potem ufnie na ramieniu wsparta,
czując mięśni wysoko splot,
patrzysz we mnie wzrokiem upartym,
jakbyś przejrzeć chciała mię wlot.
Wtedy widzę w spojrzeniu tem ciemną
noc lipcową, rozkochaną noc,
widzę ciebie i żądzę tajemną,
nowych spotkań gorączkową moc.

Dziewczynko piętnastoletnia!
Patrzę w ciebie, jakbym w ziemię wrósł.
Czy się boję, że wkrótce rozkwitniesz
pocałunkiem nie moich ust?...

ŚWIATOSŁAW HORDYŃSKYJ

Z ukraińskiego spolszczył K. A. Jaworski

WITRAŻE KRAT...

(ze zbioru „Sonety i strofy”)

Witraże krat, poprostu jakto w furdygarni,—
Przewalają się głucho organowe głębie,
Przesuwane przez dymy kadzidlanych zemdleń
I z dworu naddiegają zapachy piekarni.

W gromady rozdzielili się więźniowie karni,
Tacy, co ich rozbojów nikt jeszcze nie zgłębił,
Wciąż okrągły kapelan nagana ich gnębi,
Bajdurząc bezustannie kazania niezdarne.

Lecz widzę: oto Chrystus przechodzi po nawie
I do złodzieja, zbójcy, złego zawadzaki

Miłosiernie się schyla z dobrem słowem: bracie!
I ręce, które wszystko przebaczą, łaskawe,
Kładzie na ust i oczu zawziętość — jednakie
Na serc ich szorstkich nigdy niezmówiony pacierz.

BOHDAN KRAWCIW,

Z ukraińskiego spolszczył Aleksander Baumgarten,

NAD MIASTEM NOC...

(ze zbioru „Sonety i strofy”)

Nad miastem noc i gwar i echo
i białym śniegiem prószy wiatr —
i wraz z dzwonekami mknących sanek
młodzieńczy śmiech aż tu się wkradł.

„Czy słyszysz, Jurku?” „Słyszę, druhu...”

W zabawach niegdyś wiodłem prym...

Ot tak w więzieniu będą dzwonki
wydzwaniać mi dwadzieścia zim“

BOHDAN KRAWCIW

Z ukraińskiego spolszczył K. A. Jaworski

SZARY PATROL

Szary patrol — siedmiu chłopców — dziś do chaty wpadł.
Miedź w obliczach. Broń na plecach. —
(A za chatą cicho wieczór
Siadł.)

Szary patrol salutuje

Do hełmów ze stali:

„Dobry wieczór. — Możebyście —

Kubek wody dali...”

A w chatynce (w srebrną szybkę

Tak słonecznik się przeginał...)

W białe dłonie głowę skłoni

Dziewczyna.

(Ej — gołąbka skrzydłem igra!)

Pluskiem wody żóraw gra...

Piją chłopcy — a tam wdole

Szlak...

„Zapłać Bóg!“ i patrol szary

Gęsiego po ścieżce

(A bagnety nieskończoność

Haftują i pieszcza...)

Szary patrol już odchodzi. Szary patrol w dal.

Smutnie spojrzął ktoś w okienko.

(Za żytami słońce kłęko)—

Zal.

ANTONI KURDYDYK

Z ukraińskiego spolszczył Aleksander Baumgarten

DO MOJEJ MATKI

1.

Oddawna dumnie noszę niespokojną głowę,
 Myśl harda nie pozwala cofać się przed niczem,
 I gdyby nawet król sam spojrział w me oblicze,
 Nie opuszczę wdół oczu przed spojrzeniem owem.

Lecz zaprawdę, o matko, wyznam szczerem słowem:
 Choć odwaga ma święci niemałe zdobycze,
 W twem pobliżu kochanem, świętem, tajemniczem,
 Lęk mnie jakiś ogarnia i wzruszenie nowe.

Czyżby brać mnie chciał w jassyr duch twój niespożyty,
 Twój wielki duch, co widzi nawet wskrósł otchłani,
 I zawsze gotów wznieść się na najwyższe szczyty?

Jednak dręczą mnie myśli i cierpię niemało,
 Żem czyn jakiś popełnił, co serce twe zranił,
 Serce, które mnie przecież tak bardzo kochało!

2.

Szalony chyba ciebie niegdyś opuściłem,
 By włóczęgą przejść lądy, przepłynąć wód tonie,
 Znaleźć miłość, co dla mnie gdzieś tam żarem płonie,
 I przeżyć ją, jak jakieś zdarzenie przemiłe.

Na drogach i rozdrożach o miłości śniłem,
 Po nią przed każdą furtą wyciągałem dłonie,
 Żebrałem jak o wsparcie, modliłem się do niej —
 Lecz śmiejąc się z pogardą zwracano się tyłem.

Wciąż i wszędzie miłości szukałem wytrwale,
 Lecz nigdzie jej niestety nie mogłem odnaleźć
 I w sercu, gdym już wracał, jeszcze tkwiła rana.

Tyś jednak mnie naprzeciw wyszła sercem całym,
 Bo ach! to, co w twych oczach łzą zasłanych ujrzalem,
 To była właśnie miłość tak długo szukana.

HEINRICH HEINE

Z niemieckiego spolszczył Zenon Waśniewski

W I O S N A

(fragment powieści)

Zieleń jest już jaśniejsza, przemęczona i żółta, drobna jak listki akacji, których jeszcze niema, i lekka. Ubierając się, patrzę na zazielenione podwórze. Czuję jej obecność, kontroluje mnie, zmusza do myśli złych i prostych, jest ciągle ze mną, słyszę jej szept, ale ona nic nie mówi. Patrzy tylko. Ma władzę etyczną, której nie umie, nie może wyzyskać. Wciąż czuję za plecami ciepły oddech ducha, ale podłoga nie trzaska. Nic spirytyzmu.

Wtedy Dymitrowi oddałam się, myśląc o Adamie, nie był mi już potrzebny. Głupstwo, czyż Adam był mi potrzebny tylko do łóżka? A świat jego, a ręce, a słowa? I któż mnie łudził, że spełniam to samo z Dymitrem, co Adam z nami wszystkimi. Że go uczę, że poznaję siebie? W stęchłym pokoju Dymitra można było tylko z zamkniętymi oczami upadać. Naśladowałam, chciałam Adamowi dorównać, bez wewnętrznego pędu. Piekąca wiosna i spirytyzm, który nie jest spirytyzmem, wyrwywają ze mnie to przyznanie.

Zmęczenie włązi za mną na schodki tramwaju. Przystaje w drzwiach, czeka. Kobieta, młoda dama, oburza się na konduktora w mundurze. Każdy gest głowy odsadza futrzany kołnierz od długiej szyi. Pod pachą ma nuty, w ręce dwie konwalje, biodra są sportowe, a raczej modne, przejaszczoną chudością. Posunęła się na bok, przyłożyła do ust uśmiech, przysiadł się pan w raglanie. Teraz jej usta są mądre, mają wyraz, ładniejszy niż w sprzeczce z konduktorem. Znają się, razem wysiadają, to jemu pokaże pani niebieskie dessous w pustym parku (zapewne ma niebieskie). Piersi prostują się pod niebieską koszulą—czują wiosnę. Lodzia ogląda się w lustrze, wrywa pincetką niepotrzebne włosy w tych właśnie miejscach. Pisze na maszynie list, e i d zawsze mają podczernione oczy. Przyjdzie. Lubi oglądać dessous z jedwabiu i ciepłej skóry, nie tak gładkiej jak się myśli. Dla niego kołnierz odsadzony od szyi i prędkie wybiegi instynktu.

Dama znikła w uśmiechu tulącego się do niej blondyna, w kołnierzu ma różę opryskaną słońcem. Kołysze się wśród iskier na czubach czarnych, świetlistych włosów lisa. Za każdym ruchem różowionej szyi zmienia się, niewiedomo czy żywa czy z kości słoniowej, różowej od farby i słońca. Kwiat to istota z barw i połysku, bez kości. Wśród elastycznych piórek futra unosi się jak na fali różnica między życiem a sztuką. W większym blasku róża zbiegła, zbiegła w promienną plamę,

kwiat z fotografii Man-Ray'a. Ciekawość jest podobna do ciekawości ujrzenia czyjejs twarży. Też trochę męczy. Jak jest z różyczką naprawdę, dlaczego zbladła? Niemo droczy się ze mną i chwije, i zaokrągla barwą, która napłynęła znowu krwią. Zniechęcam się, róża skacze w kołnierzu jak fryga. Pani o twarzy zamkniętej we wszystkich płaszczynach, jak róża u futra, mówi: „Zaraz wysiadziemy“ Nerwowy akcent, krew pełna życia. Z róży opadł płatek, uszczuplił jej kształt, zjechał powoli po miękkiej czerni płaszczka. Poprawia nastroszony kwiat obojętnie, ruchem przeglądany w domu. Późno zjawia się punkt rozstania między naturą a wyobraźnią. Patrzę z niechęcią. Piękne kobiety to nawóz świata. Ale na świecie niema ludzi, świat jest wyzuty z ruchu.

Wysiedli, namiętna pani zmałała u męskiego łokcia. Poszli się kochać. Lodzia zostanie w domu lub wyjdzie na ciepłą ulicę. List na maszynie wszystko objaśnił. Zapłacę za arkusze więcej, ale kochać mogę tylko mężczyznę. Nie jestem lesbijką? Dopiero wiosna mogła mi o tem powiedzieć. Nie chciałam wiedzieć wcześniej. Broniłam się. Stawia mnie to znowu wobec przeżyć, faktycznych lub urojonych. Wysiadam z tramwaju rozgrzana niepokojem. Oglądam się za roslami paniami, chudemi jak sosnowe pnie. Nie cierpię tych wszystkich kobiet. Myzogynizm okresu Olgi przetrwał. Olga nie była mała ani duża, nie miała też modnej figury. Na wszystko już za późno. Z mojego punktu widzenia. Wszystko zostało powiedziane, to samo i z Aliną. Zapach czeremchy, uparty, jaśminowy, niepodobny—czeremcha pachnie jak kot a trochę kwiatem, — przysuwa wspomnienia nieprzyzwoite. Pogrzeb Aliny wypadł w dzień upalny. Przez szparę w trumnie, przez małe szkło, nie było nic widać, nie chciałam zobaczyć widma. W cienkim swetrze zielonym było mi za gorąco. Wobec żaloby suchej jak piarg, rozpalonej, chciałam koniecznie być ładna. To cel. Adam beużytecznie więdnie w beużytecznym pokoju. Nie powinnam o tem myśleć. Myślę bezwstydnym, niszcącym żalem, Ta rozpacz jest mdła i seksualna. Adam brał życie przez uogólnienia jak przez rękawiczki. Jakgdyby życie było brudne. Teraz już może wie cierpienie. Z drugim nawrotem leniącej się czeremchy, przenikliwej i sennej, podziwiam działanie mechanizmu schowanego w myślach pod skórą. Adam ma kochanki. Jedna ćwierka melodyjnie głosem z dźwiękowego filmu, a druga miała ładnie zarysowane nogi na prześcieradle.. Na dziś było to więcej niż filozofja. Aleja ochlapana czeremchą, wzdrygającą się i groźną jak los. Adam i one. Ale nie te z plant. Dla kogo są one? Dla robotników, studentów? Zapominasz o subjektach, ile w

samem mieście jest handelków. Cierpienie, oczy jego są duże, widzą podwójnie. Adam nauczył mnie poziomu, z którego tak trudno korzystać jak z nieznaczonych kart w fałszywej grze.

Byłabym skłonna? Myśl o Adamie jest górską, czysta i dzika. Lecz to, żeby wciąż dawał mi jeszcze przeżycia, sprzeciwia się zasadom sportu. To już nie jest sport, lecz przewlekły samogwałt, drażnione niezadowolenie, stare jak młodość bez zaspokojeń. Adama nie zobaczę. Eliminuję go tłumem włosów, twarzy, rysów leżących jedne na drugich w fabryce marzeń, oczami z płytkiej porcelany, piwnej, niebieskiej, włosami o odcieniach marzeń o namiętności. Przede mną, poza mną unoszą się strzeliste i płaskie piramidy płci, rozwartych w kształt skrzydeł przebitego motyla. Unoszą się tak lekko jak róża u kobiecego futra. Delikatne, różowe, są ornamentem wiosny do treści, do słów bez treści. Myślałam o Alinie malowniczymi skrótami:

Spadała wirującym, jednosekundowym światem olśniona. Teraz oddawna wiem, że spadła porozrywaniem ciałem bez nóg, jak ofiara wojny. Czuła tylko straszliwy, wirujący ból. Nie wiem, czy się czegoś wstydzę bardziej. Teraz obydwie odeszły. Jakby w tej chwili. Żyły we mnie za długo, aż zestarzały się, zgruchotane duchowo. Raz jeszcze błysły przeszłością w mżysty dzień, i nagle odeszły bez zawiadomień. Już dawno wyparowały przez nie wszystkie sekrety. Życie jest bryłą metalu, nie można się dostać do środka, a raczej nie podejrzewam prócz ciężaru żadnej głębi. Zarysowują się ściany. Codziennie większe szczeliny i czarny rysunek przypadku. To nie jest przypadek, ale tak śmiesznie powiedzieć na wesoło: los. Nieruchoma, w ruchu który się skończył, stoję nad brzegiem, pod którym nic niema. Nikt o tem nie wie. Czekam na dotknięcie. Czekam na katastrofę. Nie mogę się sama rozpaść. Jestem za bardzo zmęczona. Zima i wiosna zmęczyły mnie. Na każdy ból zasłużyłam. A one poszły nareszcie umrzeć.

Z gałęzi zrywa się jasna zieleń. Przezroczysta i rozkwilona ptasio. Miesza się z niebem gorącym, oddychającym na ziemię. Rozgrzana bielizna uderza mnie po udach i ociera się o podbrzusze. Ta łapa piękącego trykotu zatyka gardło płci, dusi. Fanatyzm wiosny, zdychającej od mieszanych zapachów, jest tylko w ludziach, wyczyszczonych benzyną. Okrągłe łydki kobiet rozrywają futerały pończoch, zadki okrągłej pod słońcem. Świeci jeszcze bruk. Dygocą motory. Lody, lody Spódnice zwijają się faliście i unoszą od samych spojrzeń. A te siedzące dziewczęta czytają słowa gorzkie jak linje schodzące między piersi w wieczór bez niego. Pachy tych kobiet lśnią od perfum i smagłej plamy po włosach. Ale wiosna pachnie ładniej

niż tacy. Usta skore do uściśnięcia ust wydzierają się do nich po jakąś prawdę, do dłoni, sięgających do symbolicznych portfeli, nawet nie po pieniądze. Cielista łapa, rozżarzona łapa, dosięga mnie znowu. Uderzyła. Dreszcz sięgnął serca. Odczuwam zawrotność wstrzemięźliwości, prostą jak gwizd pociągu, wstrzymującą oddech. Chwila naporu, otwierają się gorące drzwi, Z tej wiosny nie skorzystam. Pragnę topnieć pełniej. Podoba mi się bezcelowość ramion. Nerwy pozakręcały się ślimakowato. Cierpię nerwowo, głęboko i przyjemnie, z małym nalotem mistycyzmu. Nie, to tylko mi się zdaje, to cierpienie dokładnie usuwa życie.

Wiosna wciąż drga jasnym ciałem i zieleń wciąż drga. Wirujący tęczowo nadszedł różowy mrok. Przeszedł zwolna przez nozdrza koni, popielatych pojazdów i kobiet. Panowie oglądają cieliste nogi. „Która nie szczędzi dziś miłości?“ Wielkim subtelnym krzyżem zapaliły się pierwsze światła nad miastem. Przeciskam się przez tłum bezużytecznych mężczyzn, którzy nigdy się za mną nie obejrzą. Nie jestem potrzebna w tym pejzażu. Przechodzę pod sufitem liści. Mijam twarde i ciemne liście tej wiosny. Nie mam komu o tem powiedzieć. Dzień gaśnie niedopalony.

MARJA SZCZEPAŃSKA

JESZCZE W SPRAWIE ART „WYZWALANIE SZATANA I WYZWALANIE ANIOŁA“

W związku z art. moim p. K. W. Zawodziński zwraca mi uwagę (Kamena nr. 5), że „Nawracanie Judasza nie odbija atmosfery 1916 r., bo było napisane przed wojną“ Otóż szczupłe ramy artykułiku nie pozwoliły mi na obszerną wypowiedź; stąd skróty myślowe i stąd chyba zostałem źle zrozumiany. Nie utrzymuję bynajmniej, że „Nawracanie Judasza“ zostało napisane w 1916 r. a więc dlatego odbija nastroje tego roku (takie oświadczenie byłoby conajmniej dziwne) — chciałem powiedzieć, że „Nawracanie Judasza“, wydane w 1916 r., pozostaje w psychicznie przyczynowej zależności od nastrojów wojennych. Pan K. Zawodziński twierdzi, że cała trylogja (z wyjątkiem drugiej części „Charitas“) jest „dziełem przedwojennem“. Chronologicznie rzecz biorąc, ma słuszość. Ale nie o daty tu chodzi, ale o treść żywą, która między datami pulsuje. „Nawracanie Judasza“ zostało napisane w r. 1913, „Zamięć“ w r. 1914, „Charitas“ w r. 1914—1918. Ale cała trylogja już współgra i współtętni w atmosferze niepokójów wojennych i dlatego jest właśnie dziełem, powstałym w psychicznym zasięgu wielkiej

wojny. To miałem na myśli, mówiąc: „Nawracanie Judasza“ przynosi trzykrotne pożegnanie „biernej nauki wschodu“. Dalejsze tomy społecznej trylogii polskiej, powstającej w zamęcie walk, ale i w obliczu odbudowania Polski, konkretyzują ideę czynu pozytywnego z przesunięciem od jednostek do zbiorowości“.

Tyle ów passus. Czy zaś założenia mego artykułu są „fantazyjne“ — jest to rzecz do dyskusji, której jednak przed ukazaniem się mojej rozprawy („Żeromski a literatura rosyjska“) w wyd. książkowym — nie chciałbym podejmować.

To samo — w kwestji „niewłaściwego rozumienia Tołstoja-moralisty“, o czem pisze p. Lew Gomolickij.

GRZEGORZ TIMOFIEJEW

PRZEGLĄD POEZJI

Włodzimierz Słobodnik: Wiersze, Warszawa 1936.

Ostatni zbiór poezji Słobodnika pod skromnym tytułem „Wiersze“ obejmuje utwory z lat 1922—1935, rzeczy, o których autor pisze, że mu „są przeważnie obce, ale mówią o drodze, którą przeszedł, i o przystaniach, które porzuca“ To ma być usprawiedliwieniem „puszczenia ich w świat“. Czy uzasadnienie wystarczające? Chyba nie. Bo jeśli książka ta miała mieć charakter retrospektywnej antologii poety, uzupełnionej jego najnowszymi wierszami, czyż nie właściwiej było wybrać najcelniejsze utwory z dawniejszych zbiorów (zwłaszcza z „Cienia skrzyпка“ — szczytowego osiągnięcia Słobodnika), niż drukować poezje, które w selekcji przy układaniu poprzednich książek odpadły. Stąd też „Wiersze“ w swej zawartości są nierówne: obok rzeczy zupełnie dobrych, a czasem pięknych, znajdujemy błahe i słabe. Do najlepszych zaliczyłbym wiersze, ilustrujące zmysłowe odczucie świata i życia. („O świecie“, „Kobieta u studni“, „Doświadczenie“), grupę wzruszających utworów, poświęconych pamięci matki i brata, jakżeż wymownych w swej prostocie, oraz niektóre drobiazgi z „Piosenek bez rymów“, mające w swej wdzięcznej niewymyślności i ciężarce gatunkowym treści klimat, pokrewny orjentalnym klejnocikom Hafiza czy Dżelaleddina Rumi. Tak bliskie sercu Słobodnika tematy sielskie naogół i tu nie wykraczają poza możliwości poety, zaznaczone już w poprzednich zbiorach. Wyróżniłbym jednak pełną wdzięku apostrofę „Do skowronka“, przypominającą w nastroju świeżość i naiwność niektórych sielanek Karpińskiego, oraz utwory, których pogodną wiejskością mąci refleksja: „czy każdy chleb ma, choć ojczyzna pługiem orze“? — albo „między tobą a ojczyzną twoją... zadne uczynki twoje złe nie stoją, tylko źli ludzie“, „krew w jego żyłach pali się odmienna“

Przechodząc do formy wierszy, zarzuciłbym Słobodnikowi brak pod tym względem surowszej dyscypliny: uderza wogóle nadmiar przymiotników, nadużywanie wyrazu „jakiś“ („jakiś dreszcz“, „jakaś struna“, „jakaś otchłań wielka“, „jakaś dał“), rymy męskie często opierają się na enklitycznych (nie akcentowanych) zaimkach (rym: sen—ten powtarza się w książce aż pięć razy! tej—lżej—dwa razy).

Załączone na końcu zbiorku przekłady z liryki rosyjskiej naogół gładkie, czasem jednak tłumacz gwałci rytmikę oryginału. Najwyraźniej występuje to w „Gałązce Palestyny“ Lermontowa (np. „onà uwiłała kak i ty“ cztery jamby) a u Słobodnika: „zwiądła pełna rozpaczy złej“).

Spotkałem się niedawno w jednym z pism z krzywdzającym Słobodnika zdaniem krytyka, że jako poeta się skończył. Przeciwnie, zbiór „Wiersze“ dowodzi, że ich autor wkracza na nowe drogi (ciekawe np. próby z białym wierszem) i że będzie mógł niejedno jeszcze powiedzieć, ale jednocześnie wskazuje, że Słobodnikowi brak nieraz krytycyzmu w stosunku do własnych rzeczy, co mu utrudnia ich selekcję.

P. S. Korekta niedbała: przeoczono takie błędy, jak „haber“ (przez h) i „sierpu“ (zam. sierpa). „Karp“ wprowadzie rymuje się ze „skarbem“ w wierszu „Do pewnej rybaczki“, ale, zdaje się, w morzu nie żyje.

Janusz A. Rymśza: *Purpurowa sonata*, Warszawa, Dom Książki Polskiej 1935.

Trudno odmówić autorowi książki kultury poetyckiej. Trudno nie uznać piękna niektórych wypowiedzi (np. „Dni płonące w surowej siermiędze, w ciszy zadumane i od ciszy cichsze“, „Świtu wiosenniejsze godzina“, albo „Miłość snuje z żył nanięte motki“ i inn.). A jednak zbiorek, jako całość poza paru utworami wydaje się chybiony: wiersze nieraz ładne we fragmentach, nie wytwarzają aury poetyckiej, nie „biorą“ czytelnika. Może to wina dziwnego skojarzenia u Rymśzy młodopolszczyzny z wpływami awangardowemi. Rażą nas „widy“ i „zwidy“, „sonaty“ i „nokturny“, „bezen“ i „roztruhany“, i wyraz „dusza“, deklinowany przez wszystkie przypadki, neologizmy niezawsze udatne („kratery pożar“, „kryształne brzegi“, „rozdniłone oczy“, „wichurnie i inn.) i gadulstwo młodopolskie, a obok tej rozlewności przyjęta od awangardy maniera elipsy—wszystko to składa się na brak klarowności w utworach. Do rzeczy najlepszych zaliczyłbym „Balladę o sercu jesieni“, „Miłość“, „Pejzaż i burzę“ oraz „Stygmaty szczęścia“ (fragmenty). Podkreślić należy bardzo estetyczną szatę zewnętrzną książki.

KAZIMIERZ ANDRZEJ JAWORSKI

UKAZAŁ SIĘ LUTOWY NUMER WZNOWIONYCH „SYGNAŁÓW” Treść interesująca. Zwłaszcza artykuł A. Kruczkowskiego „Do krytyków” Dziwnym zbiegiem okoliczności zabacza o niektóre zagadnienia, poruszone przez C. Miłosza w „Poproście”, i dochodzi do podobnych wniosków: autor postępowiec niekoniecznie musi akcentować w swej twórczości momenty walki klasowej, a tematy, odierwane od rzeczywistości, i forma tradycyjna nie przesądzają jeszcze przynależności do obozu reakcji. Ciekawy jest również artykuł S. Blumenfeldowej „Zagadnienie żydowskie w Polsce”, w którym autorka dochodzi do wniosku, że społeczeństwo polskie jest antysemickie w 98 proc. Szukając możliwego załatwienia problemu żydowskiego, Blumenfeldowa proponuje „utworzenie pewnego rodzaju komisji”, złożonej z wybitnych przedstawicieli z najrozmaitszych ugrupowań społeczeństwa polskiego i żydowskiego, a której zadaniem byłoby „uregulowanie współżycia mniejszości ze społeczeństwem polskim, stworzenie przemyślanych norm prawnych, któreby, uwzględniając interesy państwa polskiego i większości polskiej, umożliwiły na dziesiątki lat życie ludności żydowskiej”

LWÓW WOGÓLE SIĘ RUSZA. Oprócz wznowionych „Sygnałów” świadczą o tem trzy zbiorki poetyckie „sygnalistów”, które ukazały się prawie jednocześnie: „Czas, który minął” T. Hollendra, „Panny leśne” S. Rogowskiego i „Koncert” M. Freudmana.

DUŻĄ ZASŁUGĄ WILEŃSKIEGO DWUTYGODNIKA „POPROSTU” jest zwrócenie uwagi na tak mało znaną u nas literaturę białoruską i litewską ze szczególniejszem uwzględnieniem poezji tych narodów, której próbki w mniej lub więcej udatnych przekładach spotykamy często na łamach czasopisma wileńskiego. Co więcej, czytamy tam nieraz oryginalne wiersze poetów białoruskich w transkrypcji łacińskiej.

ENTUZJASTYCZNY ARTYKUŁ FR. R. SIEDLECKIEGO o literaturze dla dzieci i młodzieży w Z. S. R. R. („Skamander”, zes. 66) oraz cytaty z niektórych utworów, świadczące o niewątpliwej ich wartości treściowej i artystycznej, powinny zainteresować naszych pisarzy i wydawców i skłonić ich do wysnucia stąd odpowiednich wniosków.

CZY DONOS? „Prosto za Mostu” dopięło stanowisko sen. Sieroszewskiego wobec Berezy Kartuskiej. Słusznie. Choć zbytecznie sięgnięto do przeszłości pisarza, nieładnie nazywając korzystanie przez Sieroszewskiego z pomocy Cesarskiego Towarzystwa Geograficznego „przezdziergnięciem się zesłańca politycznego w stypendystę”. Ale jak wobec tego usprawiedliwić taką naganę do Berezy Kartuskiej, jaką są zamieszczone w Nr. 7 „Prosto za Mostu” isynuacje W. Charkiewicza w stosunku do prof. Uniwersytetu Poznańskiego dr. Stanisława Nowakowskiego. Szkoda, że red. Piasecki, tak pilnie dbający o powagę swego pisma, przeoczył brzydotę tego „artykułu”

POWSTAŁA REGIONALNA GRUPA POETYCKA „WOŁYŃ”, w której skład wchodzi Czesław Janczarski, Wacław Iwaniuk, Stefan Szajdak i Zygmunt Rumel.

ODSKOCZNIA. Taki ma tytuł miesięcznik literacko-kulturalny młodzieży akademickiej w Lublinie. Na podstawie Nr. 1, dość słabego w treści, trudno jeszcze wyrokować o przyszłości tego pisma. Najlepszą pozycję narazie stanowią wiersze (W. Podstawka i Z. T. Popowski).

ABDERA. Rada miejska w Wadowicach pozbawiła E. Zegadłowicza obywatelstwa honorowego i przywróciła ulicy jego imienia dawną nazwę (Tatrzańską).

W № 2 „MYŚLI POLSKIEJ”, nowego dwutygodnika warszawskiego, zamieszczono artykuł Stanisława Ziemaka „Sprawa St. Brzozowskiego”. Autor streszcza tu całą historję oskarżenia i przebieg procesu, przytacza ważniejsze głosy w tej kwestji i w zakończeniu zestawia los Brzozowskiego ze smutnymi kolejami życia Mochnickiego, doszukając się w nich analogji. Dobrze, że „Myśl Polska” znowu podjęła sprawę, którą czas największy zamknąć już ostatecznie, ogłosiwszy uroczystą rehabilitację świetnego pisarza.

LEPSZEGO SPECJA powinna wyszukać sobie „Myśl Polska” I piszącego nie po rosyjsku („pod tą nazwą należy rozumieć” № 1) i bardziej orientującego się w sprawach, o których pisze. Zarzucając (№ 2)

Bakowi „pensjonarską naiwność” za stanowisko, zajęte w „Pionie” w związku ze wspomnianym wyżej artykułem Fr. Siedleckiego („Skamander” zes. 66), Spec bezapelacyjnie stwierdza, że „istotnych arcydzieł” (ani dla dzieci, ani dla dorosłych) w Rosji Sowieckiej niema i wątpli o możliwości drukowania tam Kiplinga bez „retuszu ideologicznego”. Oczywiście Spec o wszystkim wie lepiej od Siedleckiego, który omawiane przez siebie książki czytał. Spec nie uwierzyłby, gdyby mu oświadczyć, że w Rosji przekłada się masowo klasyków, tłumaczy się nie tylko Kiplinga, ale i Wells’a, Conrad’a, Gide’a, Romain’s’a, Dreisera, Dos Passosa i innych, a nawet Proust’a, którego się w Polsce nie możemy doczekać. Nie uwierzyłby, choćby mu pokazać katalog. Powiedziałyby — błaga. A możeby się przeszedł do Gebethnera i Wolffa i przejrzał znajdujące się tam na składzie wydawnictwa rosyjskie. Możeby zrozumiał, że wolno nie zgadzać się z komunizmem, wolno go zwalczać, ale należy uznać pracę kulturalną sąsiada.

— kaj —

ODPOWIEDZI OD REDAKCJI

P. M. S. w Krakowie. Dziękujemy Pani uprzejmie za pamięć. Czy moglibyśmy w przyszłości liczyć na coś górskiego?

P. A. I. w Warszawie. Dziękujemy Pani za miły list. W najbliższej przyszłości odpiszemy.

P. J. Ś. w Warszawie. Dziękujemy za wiersz. Zamieścimy w przyszłości.

P. S. P. w Warszawie. Dziękujemy za list. Z obiecanego artykułiku chętnie skorzystamy.

P. L. Ś w Krakowie. Dziękujemy uprzejmie za nadesłane wiersze.

P. Jotwe w Krakowie. Część chętnie wydrukujemy. Dziękujemy uprzejmie.

P. C. J. w Warszawie. Dziękujemy. Notatkę znajdzie Pan w tym numerze.

P. A. B. w Żółkwi. Dziękujemy serdecznie.

PISMA I KSIĄŻKI NADESLANE

Biuletyn Polsko-Ukraiński № 143—147, Chłopskie Jutro № 4—5, Dekada № 13—15, Kronika Nadbużańska № 5—7, Lewy Tor № 1—3, Miecz № 87—92, Miesięcznik Literatury i Sztuki № 5, Myśl Polska № 1—2, Nasz Swit № 2, Nazustrićz № 3—4, Now’ № 8 (Tallin, 1935), Nowa Wieś № 9, Nowe czasy № 2—3, Obriji № 1—3, Odkocznia № 1, Okolica Poetów № 1—2, Pion № 5—8, Poprostu № 12—14, Praca Oświatowa № 2, Prosto z Mostu № 5—9, Przemiany № 1—2, Sygnały № 14, Tygodnik Ilustrowany № 5—9, Wici Wielkopolskie, Nr. 1, Zet Nr. 17, Życie Akademickie Nr. 1. Józef Czechowicz: Nic więcej, F. Hoesick, Warszawa 1936. Bronisław Ludwik Michalski: Spotkanie z brzozą, F. Hoesick, Warszawa 1936. Maciej Freudman: Koncert, A. Krawczyński, Lwów, 1936. Tadeusz Hollender: Czas, który przeminął, A. Krawczyński, Lwów, 1936. Stanisław Rogowski: Panny leśne, A. Krawczyński, Lwów, 1936. Momczilo Miloszević: Jovan Vladislav, przełożył St. K. Papierkowski, Lublin 1935. Tadeusz Sarnecki: Poszukiwa-

Robi się tak: domorośli malarzyna rysuje karykaturę, przedstawiającą obdartego mizeraka, do którego nosa i nogi przymocowane są łańcuchy: przedni trzyma opasy, uśmiechnięty żydowin z cygarem w ręku, w laskierach i z brzuchem jak dynia, ozdobionym ogromną dewizką; tylny — mniej już reprezentacyjny Izraelita, który popędza nieświadomionego goja biczem. Obok obrazka umieszcza się inteligentny wierszyk: „Przypatrz się Wojtku żydowski temu obrazkowi, który rzetelnie ci powie, coś wart i co cię w przyszłości czeka, jeśli się nie obleczesz w skórę mądrego człowieka”. Karykaturę z powyższą sentencją odbija się w dziesiątkach tysięcy egzemplarzy (są na to pieniądze) i rozsyła się (pięciogroszowy znaczek) oczywiście anonimowo do „Wojtków” czy to w Pipidówce, czy w powiatowym czy wojewódzkim mieście (wszystko jedno) bez różnicy ich poziomu umysłowego (czteroklasówka na wsi czy dyplom uniwersytecki). Niech się palą ze wstydu!...

Eh, panowie, panowie. Nawet takiego głupstwa nie potraficie dobrze zrobić. Czyż nie autorytatywniej było zacytować z „Pana Tadeusza”: „Zosia krzyczała, Sędzię objąwszy rękami, jako dziecko przez Żydów klute igielkami”? (Choć nie, lepiej z tym Mickiewiczem ostrożnie. Broń obosieczna. Pewno też Wojtek, skoro pisał w „Symbolu politycznym”: „Izraelowi, bratu starszemu, uszanowanie, braterstwo, pomoc na drodze ku jego dobru wiecznemu i doczesnemu, równe we wszystkim prawa” No, ale jest jeszcze Krasieński, że też panowie zapomnieli: „Na wolności bez ładu, na rzezi bez końca, na zatargach i złościach, na ich głupstwie i dumie osadzim potęgę Izraela”. Przecież Krasieński był endekiem! Czy to nie lepsze, niż ten odsłaniający waszą mentalność wierszyk?

Partacka robota, panowie. Dwója. I to jeszcze nazywa się szumnie „Samoobrona Narodu”...

Najnowsze wydawnictwa

„Biblioteki K a m e n y“

Nr 4 ALEKSANDER BŁOK: WIERSZE WŁOSKIE

Spolszczyli K. A. Jaworski i J. Łobodowski
linoryty Zenona Waśniewskiego. Cena 2 zł.

W marcu ukaże się:

Nr 5 STEFAN NAPIERSKI: LIRYKA NIEMIECKA

Nr 6 MIKOŁAJ GRONSKIJ: BELLADONNA

ze wstępem J. Iwaska, spolszczył K. A. Jaworski,
linoryty Zenona Waśniewskiego.
Cena 1 zł.

DO NABYCIA W KSIEGARNI T-WA WYDAWNICZEGO
W WARSZAWIE, MAZOWIECKA 12.

*Czas odnowić prenumeratę za drugie
półrocze (2 zł. 25 gr.)*

*Numer niniejszy wychodzi z opóźnieniem
z powodów niezależnych od wydawnictwa
i redakcji.*